

Ostatnie wspólne wakacje

Janusz Umiński, Bydgoszcz

Kapitan Henryk Umiński, oficer służby stałej, urodził się 8 maja 1896 r. w Chełmie z ojca Edmunda, cukiernika, i matki Marianny ze Stelegowskich. W 1915 r. wstąpił do armii rosyjskiej, do 44. Dywizji Piechoty. Po ukończeniu w lipcu 1916 r. szkoły praporszczyków w Gątczynie mianowano go praporszczykiem (chorążym). W pułku rosyjskim pracował nad uświadamianiem narodowym żołnierzy polskich. W końcu listopada 1917 r. wstąpił w stopniu porucznika do I Korpusu Wschodniego im. gen. Dowbór-Musnickiego, w którym przydzielony do I Legii Oficerskiej służył aż do demobilizacji 18 czerwca 1918 roku. W ramach 5. Pułku Strzelców Polskich uczestniczył w samoobronie Mińska Litewskiego 23 stycznia 1918 roku. Na początku 1919 r. wstąpił do Wojska Polskiego.

Przez dłuższy okres był równocześnie oficerem oświatowym garnizonu bydgoskiego i działaczem oddziału bydgoskiego Polskiego Białego Krzyża. Od zawarcia ślubu w grudniu 1930 r. Rodzice mieszkali przy jednej z najładniejszych wmieście arterii - ulicy 20 Stycznia 1920 r. (data przejścia miasta przez władze polskie) pod nr. 24 w kamienicy mego dziadka Kazimierza Madalińskiego, inżyniera melioracji rolnych, od 1922 r. prowadzącego w Bydgoszczy własne Biuro Robót Melioracyjnych i Drogowych. W okresie bydgoskim często odwiedzał Rodziców mjr Jan Żychoń, kierownik Ekspozytury nr 3 Oddziału II Sztabu Głównego WP w Bydgoszczy, mieszkający kilka domów dalej pod nr. 10. Oprócz spotkań towarzyskich mogły to być także kontakty służbowe, gdyż Ojciec odbył w 1929 r. trzymiesięczne przeszkolenie w służbie informacyjno-wywiadowczej przy Samodzielnym Referacie Informacyjnym Dowództwa Okręgu Korpusu Nr VIII w Toruniu.

Ja urodziłem się 10 lutego 1932 roku. Jako członek rodziny zawodowego wojskowego teoretycznie wraz z Rodzicami powinienem się przenosić do kolejnych ośrodków garnizonowych, w których począwszy od roku 1934 po opuszczeniu Bydgoszczy zamieszkiwali Rodzice. Ale z racji niewygód towarzyszących przenosinom i „instalowaniu się” w nowym miejscu, zwykle kilka miesięcy później przybywałem na nowe

„miejsce postoju”, a w niedługim czasie znów następowała jego zmiana. Tak było do wybuchu II wojny światowej czterokrotnie.

Rozkazem Ministerstwa Spraw Wojskowych z 13 maja 1938 r. Ojciec otrzymał przydział do pracy w Dowództwie Okręgu Korpusu VII w Poznaniu. Objął tam funkcję kierownika referatu w Wydziale Mobilizacji i Uzupełnień. Wydawało się, że rozpoczął się okres pełnej stabilizacji w życiu rodzinnym. Ponieważ Matka spodziewała się rozwiązania, pozostałem na dłużej u dziadków w Bydgoszczy. Uczęszczałem w roku szkolnym 1938/39 do I klasy Szkoły Powszechnej im. „Rodziny Wojskowej” w Bydgoszczy, mieszczącej się w budynku przy ul. Jagiellońskiej 13.

13 września 1938 r. urodził się w Poznaniu mój brat Włodzimierz Waław. Święta Wielkanocne w 1939 r. spędzałem w Poznaniu, a ostatnie przed wojną wspólne z Rodzicami wakacje w Puszczykówku. Wtedy także Ojciec usiłował uczyć mnie pływać w Warcie, ale nic z tego nie wyszło. Już na kilka dni przed wojną, wcześniej niż zamierzaliśmy, musieliśmy powrócić do Poznania. W związku z zagrożeniem wybuchem wojny i ogłoszoną mobilizacją powszechną, jako pracownik Wydziału Mobilizacji i Uzupełnień DOK VII w Poznaniu, Ojciec został wezwany do Dowództwa Okręgu. W związku z realną groźbą wybuchu wojny nakazał pakowanie różnego rodzaju sprzętu gospodarstwa domowego i pościeli oraz ich wysyłkę do jego braci do Chełma Lubelskiego, dokąd również mieliśmy z Mamą później dojechać.

1 września 1939 r. około godz. 11.00 spadły pierwsze bomby w Poznaniu. Następnego dnia Ojciec zabrał mnie do miejsca swej pracy - Dowództwa Okręgu Korpusu nr VII, mieszczącego się przy ul. Solnej, opodal wylotu ul. Marcinkowskiego. Tam przez kilka godzin pomagałem mu i żołnierzom w opróżnianiu szaf i regałów, mieszczących się w piwnicach neogotyckiego budynku, z segregatorów i stosów pojedynczych akt, zawierających - jak to Ojciec określił - materiały „tajne”. Rzucaliśmy je na dziedzińcu na duże stosy, które żołnierze, po oblaniu benzyną, podpalali. W niebo biły wysoko płomienie, a przechodnie przemykający ulicą sądzili, że były one następstwem kolejnych bomb, jakie spadły w tym dniu na Poznań. Mniemam, że były to akta Samodzielnego Referatu Informacyjnego tzw. H przy DOK, zawierające m.in. spisy pracowników wywiadu

i kontrwywiadu, działaczy organizacji niepodległościowych, Polskiego Związku Zachodniego itp. Dzięki temu akta te nie wpadły później w ręce gestapo czy policji. Późnym wieczorem nieoświetlonymi ulicami wracaliśmy z Ojcem do domu samochodem wojskowym ze zgaszonymi światłami. A następnego dnia Ojciec zawiózł nas do Cytadeli Poznańskiej. Tam, wśród setek rodzin wojskowych, spaliliśmy w kazamatach przy swoich tobołkach. Kolejno, jak stawiano pociągi ewakuacyjne dla „Rodzin Wojskowych”, wyznaczone grupy udawały się w ciągu nocy na pobliską stację Poznań Garbary. Gdy i na nas przyszła kolej, Ojciec pomógł nam przenieść się na dworzec i załadować do przedziału w wagonie osobowym. Pociąg, którego stacją docelową miała być Rawa Ruska, składał się z kilku wagonów osobowych, którymi jechały rodziny oficerów, wagonów towarowych z rodzinami podoficerów i żołnierzy oraz zamkniętych lub otwartych wagonów, w których złożono stosy dobytku uciekinierów.

Już dniało, gdy 4 września pożegnaliśmy się z Ojcem - jak się później okazało - na zawsze. Droga do Chełma Lubelskiego trwała blisko 10 dni. Jechaliśmy z reguły nocami, a w dzień leżeliśmy pokodem w lesie czy kartoflisku, zawsze w pobliżu jakiejś osłony. W Kutnie był dłuższy postój. Zresztą nikt nie określał czasu postoju lub odjazdu pociągu. Z miednicą, którą zabraliśmy ze sobą, oraz brudnymi śpioszkami Włodka wysiadłem z pociągu, by je wyprać pod najbliższą pompą dla parowozów. Ale droga do niej była daleka, bo stację już kilkakrotnie bombardowano. Sterczały kikuty szyn, leżały rozbite uprzednio wagony i uszkodzone pompy. Aby niektóre tory były przejezdne i można było przepuścić nimi kolejne pociągi ewakuacyjne, kolejarze dokonywali wręcz heroicznych czynów. Wreszcie dotarłem do którejś z czynnych pomp i wyprałem „ciuszki”. Dużo nie brakowało, a zostałbym sam w Kutnie. W drodze powrotnej przez gmatwaninę torów musiałem przepuścić ruszające pociągi i dosłownie w ostatniej chwili dotarłem do naszego, gdy ruszał bez zapowiedzi! Parę dni później na jednej ze stacji rozrządowych wraz z trzema innymi składami staliśmy przez cały dzień. Pod wieczór przyjechał kolejny pociąg ewakuacyjny, który wkrótce puszczono w dalszą drogę. Wywołało to ogólne oburzenie pozostałych mieszkańców wagonów, którzy głośno szemrali:

My cały dzień staliśmy w spiekocie i w utrudzeniu, a pociąg, który dopiero przyjechał, prawie zaraz puszczono w dalszą drogę! Wkrótce dowiedzieliśmy się, jadąc tą samą trasą i mijając rozbite wagony, że wspomniany pociąg kilka stacji dalej zbombardowano, a większość jego pasażerów zginęła od bomb lub w następstwie wybuchu pożaru. Zostaliśmy cudownie uratowani od niechybnej śmierci, która mogła nas osiągnąć, gdyby nasz pociąg ruszył wtedy pierwszy! Śmierć ominęła nas po raz wtóry, gdy dojechawszy do stacji Rejowiec Fabryczny podczas oczekiwania na pustej stacji na okazyjny pociąg do Chełma, zostaliśmy ostrzelani z broni pokładowej przez samoloty Luftwaffe. Bombardowały one pobliską cukrownię, w której stacjonowała kompania Policji Państwowej ewakuująca się na wschód. Słyszając nadlatujące samoloty, ukryliśmy się w stogach siana ustawionych niedaleko stacji. Od rykoszetów strzałów z pikujących samolotów dwa z nich zapaliły się, znów na szczęście nie nasze. Wkrótce nadjechał parowóz kierujący się do Chełma. Kolejarze zgodzili się na prośbę Mamy dowieźć nas tam i tak dotarliśmy do miasta 13 września, w rocznicę urodzin brata.

Tego dnia rozpoczęły się też zmasowane naloty na miasto samolotów Luftwaffe, podczas których chroniliśmy się w piwnicach rodzinnego domu. Schodziliśmy na najniższy trzeci poziom, wykuty w kredzie pod normalną piwnicą. Ponieważ panowało tam niemal arktyczne zimno, Włodek nabawił się koklusz. Stryj Zygmunt, sędzia sądu grodzkiego, zakwaterował nas w swym mieszkaniu na I piętrze. Miał żonę i dwóch synów: Edmunda (13 lat) i Jerzego (11 lat). Mieszkał też z nimi stryj Stefan, kawaler, który był wiceprezydentem miasta. Pracował w pobliskim magistracie, do którego docierał w czasie nalotów wydrążonym w kredzie podziemnym kruzgankiem.

Bombardowania lotnictwa niemieckiego trwały do 19 września, dnia zajęcia miasta przez wojska sowieckie. Ponieważ w rejonie Chełma w składzie cofających się na wschód wojsk polskich były też baterie artylerii przeciwlotniczej, uczestniczące potem w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim, udało się strącić nad miastem kilkanaście samolotów Luftwaffe.

Dopiero po wojnie wyszło na jaw, że w okresie sowieckiej okupacji Chełma w lazarecie przy ul. Hrubieszowskiej leżał mój Ojciec, ciężko ranny

w nogę podczas bitwy pod Tomaszowem Lubelskim. Prosił jakiegoś człowieka z obsługi sanitarnej o powiadomienie rodziny o jego pobycie w szpitalu i wydostanie go z lazaretu. Ale człowiek ten bał się w tym uczestniczyć i Ojca wraz z innymi oficerami Sowietów wywieźli do Starobielska. Do rozmowy z Ojcem przyznał się dopiero w latach pięćdziesiątych. Po wejściu Sowietów zaczęły się też wywózki inteligencji do Związku Sowieckiego.

W drogę powrotną do Poznania wyruszyliśmy w grudniu 1939 roku. Tu okazało się, że nasze mieszkanie opieczętowano. Na drzwiach były nalepki z hitlerowską „gapą” i informacją, że mieszkanie zajęte (Beschlagnahmt) na potrzeby wyższego oficera gestapo. Nazwa tej instytucji nic nam jeszcze nie mówiła! Nie mogąc się dostać do swego mieszkania, udaliśmy się z bagażami do wujostwa Morawskich. We własnej kamienicy wuj Waław, brat babci Wiktorii, prowadził znaną w Poznaniu aptekę „Pod Gwiazdą”. Zatrzymaliśmy się u nich i Mama listownie powiadomiła Dziadków w Bydgoszczy o naszych rugach z mieszkania. Wkrótce przybyli do Poznania i - nie zdając sobie niewątpliwie w pełni sprawy z ewentualnych konsekwencji - udali się z interwencją do szefa gestapo. Dziadek, znający doskonale język niemiecki, dialektem berlińskim (nabytym w czasie studiów w Charlottenburgu), powołując się na konwencję genewską, w której była m.in. mowa o ochronie dóbr oficerów i ich rodzin w czasie wojny, w imieniu Mamy jako żony oficera pozostającego prawdopodobnie w niewoli niemieckiej zażądał udostępnienia mieszkania. Gestapowiec nie zgodził się na to, twierdząc, że mieszkanie jest absolutnie potrzebne gestapo, zezwolił jednak na zdjęcie „klepsydry” i zabranie z mieszkania naszych mebli - w terminie trzech dni! Po rozdziale mebli na przechowanie udaliśmy się do Bydgoszczy, gdzie zamieszkaliśmy u Dziadków.

Pod koniec 1939 r. otrzymaliśmy pierwsze wieści od Ojca z obozu w Starobielsku na Ukrainie, w którym został internowany przez NKWD po walkach pod Tomaszowem Lubelskim i pobycie w szpitalu polowym w Chełmie. Naiwnie wówczas sądziliśmy: *Lepiej, że dostał się do niewoli rosyjskiej, bo na pewno jest tam mu lepiej i bezpieczniej niż u Niemców*. Staraliśmy się, jak długo to było możliwe, korespondować z Ojcem. Przesłał nam łącznie list, kartkę pocztową i dwa telegramy. Ostatni telegram

otrzymaliśmy 4 kwietnia 1940 roku. Korespondencja się urwała. List wysłany przez nas do Starobielska wrócił z adnotacją: *Retourpartie*. Dziadek zwrócił się natychmiast do Niemieckiego Czerwonego Krzyża (Centrali Dokumentacji dla Jeńców Wojennych w Monachium) z prośbą o wszczęcie poszukiwań Ojca. Nie mieliśmy także żadnych wieści o wujku Kazimierzu, który w ostatnich dniach sierpnia wyruszył na wojnę z 11. Dywizjonem Artylerii Konnej.

Także w 1940 r. Niemcy rozpoczęli masowe wysiedlenia z mieszkań - Polaków mieszkających w śródmieściu Bydgoszczy. Pewnego dnia rugi zaczęły się przy ul. 20 Stycznia 1920 r. i sąsiednich. Ponieważ z reguły Niemcy działali według określonego planu, Dziadek postanowił wykorzystać niemiecki pragmatyzm postępowania i uprzedzić rugi. Udał się zaraz do Józefa Stranza, właściciela cegielni przy ul. Nakielskiej 139-141 w dzielnicy Wilczak, u którego zaopatrywał się w produkty ceramiczne potrzebne do prac melioracyjnych, z prośbą o zgodę na zamieszkanie u niego.

Państwo Stranz udostępnili nam pomieszczenia we frontowej części parteru swej obszernej willi przy ul. Nakielskiej 141. Zajęliśmy duży, ponad 30-metrowy salon utworzony z dwu dawnych pokoi. W przechodnim przedpokoju zamienionym na kuchnię gotowaliśmy na żelaznym piecyku. W zimie salon trudno było ogrzać (temperatura oscylowała w granicach 8- 10°C), więc jedynie na noc udawaliśmy się do niego. Pewnego zimowego poranka, gdy leżeliśmy jeszcze w łózkach, wtargnęła do pokoju policja, która dokonywała wywozu Polaków do obozu w Potulicach. Jedynie przytomność Dziadka uratowała nas od wywózki. Przekonał Niemców, że jesteśmy chorzy na chorobę zakaźną i odizolowani właśnie w tym pomieszczeniu, aby nikogo nie zarazić.

Mimo obowiązku chodzenia do szkoły niemieckiej dla Polaków w roku szkolnym 1939/40 udało mi się uniknąć tego przykrego obowiązku. Uzyskałem lekarskie zaświadczenie o ciężkiej anemii. Do szkoły niemieckiej, tzw. *Pfnzenhalschule*, przy ul. Nakielskiej 11 poszedłem w następnym roku. Chodziłem do niej aż do „wyzwolenia” w styczniu 1945 r. Okres pobytu w szkole niemieckiej trudno nazwać nauką. Wtłaczano nam jedynie podstawowe pojęcia z rachunków, rysunków, geografii regionu, zmuszając głównie do mówienia po niemiecku oraz nauki czytania i pisania w tym języku. *

Po ogłoszeniu 13 kwietnia 1943 r. przez Niemców w prasie, a później w osobnej publikacji informacji o odkryciu w Lesie Katyńskim zbiorowej mogiły polskich oficerów zamordowanych przez Rosjan, zdaliśmy sobie sprawę, że również Ojciec mógł być przez nich zamordowany. Ale nadal łudziliśmy się, że tych ze Starobielska to nie spotkało!

W grudniu 1944 r. odczuwało się coraz większe zdenerwowanie wśród niemieckich mieszkańców miasta. Były też wzmożone ruchy wojsk niemieckich. Z miasta zaczęli gremialnie uciekać niemieccy mieszkańcy. Dantejskie sceny rozgrywały się na dworcu głównym, gdzie rodziny z dziećmi i tobołami usiłowały dostać się do pociągów odchodzących na zachód.

Gdy została „oswobodzona” lewobrzeżna część Bydgoszczy, udałem się z Mamą do naszej kamienicy przy ul. 20 Stycznia 1920 roku. Zastaliśmy na szczęście dom w nienaruszonym stanie. Dzięki opiece portierki mieszkającej w suterenie nie tylko nie zdemolowano okien czy drzwi, lecz także opuszczone w pośpiechu przez niemieckich lokatorów mieszkania były prawie nietknięte. Włączyliśmy się do akcji obrony domu, naklejając na drzwi wejściowe do domu olbrzymi napis: *Tu mieszkają rodziny polskie*. Miało to zabezpieczyć przed rabunkiem wyposażenia mieszkań i ogólną dewastacją obiektu. Tak znaleźliśmy się w okowach nowej, tym razem sowieckiej okupacji.

Poszukując wieści o Ojcu, po wojnie zwracaliśmy się do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genewie, Biura Informacji i Poszukiwań PCK w Warszawie, Urzędu Naczelnego Kapelana WP w Londynie oraz Kurii Biskupiej dla Polaków w Niemczech we Frankfurcie nad Menem. Urząd Naczelnego Kapelana w Londynie w piśmie z 7 listopada 1956 r. stwierdził m.in.: *O ile Pani posiada dowody, że mąż Pani przebywał w jednym z trzech obozów, mianowicie Kozielsk, Ostaszków i Starobielsk, przed majem 1940 roku, należy przypuszczać, że nie żyje. Jest rzeczą moralnie pewną, że przebywający w powyższych obozach jenieckich do maja 1940 roku, zmarli na terenie Z.S.R.R.* Postanowieniem Sądu Grodzkiego w Poznaniu z 25 lutego 1947 r. Ojciec uznany został za zmarłego. Jako datę śmierci przyjęto dzień 9 maja 1946 roku. Ojciec był odznaczony medalami: Interalliee de la Victorie, Za Wojnę 1918-21, 10-lecia i Medalem

Niepodległości, pośmiertnie: Krzyżem Kampanii Wrześniowej 1939 i Medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939”.

Mama zmarła w 1998 r. w wieku 88 lat i jest pochowana razem ze swymi rodzicami w Bydgoszczy. Wuj Kazimierz Madaliński, ppor. 11. Dywizjonu Artylerii Konnej w Bydgoszczy, zginął w walkach pod Grupą 5 września 1939 r., a stryja Stefana Umińskiego rozstrzelali Niemcy 4 lipca 1940 roku.